



Znalazłem się w Wyższej Szkole Pedagogicznej i nie żałuję tego. Rozmowa z prof. dr. hab. Bernardem Lammkiem w ramach projektu „Narracje o Uniwersytecie Gdańskim”

Dominik Bień | Uniwersytet Gdański
ORCID: 0000-0001-7033-8216

Bernard Lammek | Uniwersytet Gdański

Dominik Bień (D.B.):

Panie Rektorze, pierwsze pytanie: jak to się stało, że został Pan chemikiem?

Bernard Lammek (B.L.):

Sytuacja była ciekawa. Ja chciałem studiować historię albo chemię. I tak wahałem się, ale zdecydowało ostatecznie zamiłowanie do mieszanin, które się paliły kolorowo, czy magnezji, która osłepiała. To były takie początki oczywiście, to trudno nazwać chemią, ale tak się zaczęło. Potem w liceum miałem świetnego nauczyciela, którego notabene później (jako że był po pierwszym stopniu studiów) miałem uczyć chemii jako już młody asystent na uniwersytecie. Także losy są czasami dziwne. No i on mnie zaraził pasją do chemii. Bardzo ładnie, bardzo przystępnie i interesująco prowadząc ten przedmiot.

D.B.: Ale w liceum był pan w klasie chemicznej?

B.L.: Za moich czasów nie było klas chemicznych czy innych profili. No i to się odbywało w ten sposób, że chemik, który jak był rozsądny, mówił do mojej koleżanki, która była świetną polonistką: Oła, ty chemikiem nie będziesz, ale to minimum, które musisz wiedzieć. Ode mnie wymagał, bo z kolei wiedział, że prawdopodobnie pójde na chemię. I tak to wyglądało.

D.B.: I trafił pan na początku na Politechnikę Gdańską?

B.L.: Tak, trafiłem na Politechnikę i też można powiedzieć dziwnie. Zrządzeniem losu o mało nie oblałem egzaminu. Przyznaję się do tego, ale byłem w pewnym sensie usprawiedliwiony. Mieszkałem wtedy na wsi i przyjechałem autobusem do Gdańska. Miałem pierwszy egzamin, to chyba była matematyka, na godzinę 11, nie było jednak wolnych sal i zrobiono nam ten egzamin o godzinie 19 wieczorem. I błąkałem się po Gdańsku i byłem tak wykończony, że... Ale jakoś tam na tę trójkę napisałem, bo dwójka wyeliminowałaby mnie później. Na fizyce i na języku nadrobiłem i szczęśliwym zrządzeniem losu udało się zostać przyjętym w poczet studentów Politechniki Gdańskiej.

D.B.: I po studiach został Pan asystentem na Politechnice Gdańskiej?

B.L.: Nie, nie pracowałem tam ani dnia. Otóż wtedy miałem zajęcia między innymi ze świetną chemiczką, która mnie utwierdziła w tym, że chcę zostać na uczelni, bo miałem pracować w przemyśle. Chodzi o panią Profesor Sokołowską, żonę założyciela Uniwersytetu Gdańskiego. No i ona myślała, że będzie miała etat dla mnie na PG, ale nie miała etatu i zaproponowała: „Wie pan co, mój mąż chemię organiczną prowadzi”. To wtedy była Wyższa Szkoła Pedagogiczna. „Czy Pan by się nie zdecydował, żeby zmienić uczelnię?”. Co prawda wtedy wolałem pracować na Politechnice, bo to w tamtych czasach jednak był trochę większy prestiż tej uczelni. No ale znalazłem się w Wyższej Szkole Pedagogicznej i nie żałuję tego. I tak to się zaczęło w 1969 roku, w listopadzie. Pamiętam, po obronie pracy magisterskiej trzy dni później prowadziłem pierwsze zajęcia. Był to taki przeskok. Trudno mi się było przestawić z roli jeszcze studenta na rolę prowadzącego, asystenta. No ale jakoś to poszło.

D.B.: O tyle pewnie Pan Rektor miał łatwiej, że nie prowadził zajęć ze swoimi kolegami z Politechniki.

B.L.: To było to. To były zupełnie nieznane mi osoby. Ale niektórzy byli w moim wieku, bo ja zacząłem wcześniej chodzić do szkoły, a część z nich była po liceum pedagogicznym. Ale to nie przeszkadzało.

D.B.: A jak Pan Rektor wspomina moment powołania Uniwersytetu Gdańskiego? Jakie to miało znaczenie wtedy dla Pana jako pracownika? Dla środowiska?

B.L.: Ja byłem w pewnym sensie blisko, bo pracowałem w katedrze założyciela UG Profesora Janusza Sokołowskiego, ale przesadziłbym, gdybym powiedział, że to jakoś tam generalnie zmieniło nasze życie. Była to satysfakcja, bo jednak Uniwersytet to nie Wyższa Szkoła Pedagogiczna i to ta legitymacja zobowiązywała do czegoś, ale dawało też poczucie dumy. Co by tu dużo nie mówić. Początki były skromne, bo jak pamiętamy budynków nie było. Właściwie była to zmiana nazwy. No i oprócz tego, że powstały nowe wydziały, to u nas się specjalnie nic nie zmieniło. Na chemii, której pracowałem, to się nic nie zmieniło. Natomiast była to taka raczej sprawa poczucia większej dumy, tak bym to określił krótko.

D.B.: Chemia mieściła się wtedy na Sobieskiego.

B.L.: Dostaliśmy później nieco więcej pomieszczeń, jak wybudowano budynek Matematyki i Fizyki w Oliwie, bo oni się wyprowadzili wtedy. Ale to było później, nie w 1970 roku.

D.B.: Przez lata pełnił Pan na Uniwersytecie Gdańskim wiele różnego rodzaju funkcji, poczynając od prodziekana na Wydziale Chemii, aż po rektora. Jakie największe wyzwania stawały przed Panem podczas pełnienia tych funkcji, które Pan pamięta najbardziej? Co sprawiło trudności? Co było jakimś źródłem satysfakcji podczas tych lat pracy?

B.L.: Muszę powiedzieć, chociaż właściwie może nie powinienem tego mówić, ale to były piękne czasy. Chociaż pewnie to jest tak, że jak się wraca wspomnieniami do młodości, to wszystko wydaje się piękne. Ale nie, rzeczywiście było łatwiej. Wtedy nie było tej papierologii, która, już w okresie jak byłem rektorem, zaczęła być bardzo uciążliwa. Jak byłem dziekanem, wydział był zżyty, bardzo łatwo się nim kierowało, wszyscy byli życzliwi. U nas nie było (mówię o chemii) zawiści. Jak ktoś zasługiwał na awans, wszyscy natychmiast, można powiedzieć z radością, ten awans przyklepywali. Nie było blokowania. Myślę, że to było głównie zasługą tzw. starej kadry: Profesora Sokołowskiego, Godfryda Kupryszewskiego, Bogdana Liberka i Jerzego Szychlińskiego, którzy taką atmosferę stworzyli. I naprawdę wydziałem kierowało się bardzo, bardzo łatwo. Nie było tak jak teraz tej walki o wszystko. Oczywiście problemem było to, że nie było nic. Pamiętam, zamawiało się odczynnik, który przychodził po półtora roku i człowiek czasami nie pamiętał, po co ten odczynnik zamawiał. Musiał sobie przypominać. No ale to takie czasy były. Natomiast jako rektor miałem świetną ekipę, nie będę tu wszystkich wymieniał, którą zawsze chwaliłem, i do dziś dziękuję im za współpracę. Problemem były budowy, zdobywanie pieniędzy, najpierw pisanie projektów, a później te projekty trzeba było promować i jeździć do tak zwanych decydentów. I to myśmy robili, jeżdżąc i to dosyć skutecznie, no bo jednak tych budynków trochę powstało, ale problemem były budowy, bo wykonawcy często schodzili z placu budowy. Przykład: rektorat i neofilologia, gdzie pamiętam jak dziś po podpisaniu kontraktu, który opiewał na niższą sumę niż myśmy przecież oszczędnie zaprojektowali. Pytam się tego prezesa, już nie będę mówił, jakiej firmy, bo to nie o to chodzi: Dlaczego tak tanio? On mówi: To nie powinno być pana zmartwienie. Pan powinien się cieszyć. Ja mówię: Panie prezesie, niekoniecznie, bo znam realia. No i oczywiście, po roku firma zesła z budowy i my musieliśmy szukać nowych, droższych. No i to były takie problemy, ale to były wyzwania nie powiedziałbym, że jakieś szczególnie obciążające. Trzeba było się starać, ale jakoś to się wszystko w końcu udawało. Była też życzliwa atmosfera polityczna, więc można było pewne rzeczy nie załatwiać, bo to nie było załatwianie, ale te projekty skutecznie promować. Tak bym to określił.

D.B.: Patrząc z perspektywy ówczesnego studenta, to była przecież rewolucja. Oddawanie kolejnych budynków również za kadencji Pana Rektora, bo to zostało w końcu

skumulowane. Tak naprawdę duża część na jednym kampusie i dla studentów, którzy wcześniej musieli jeździć po całym Gdańsku, Sopocie, Gdyni, to była ogromna zmiana.

B.L.: Pamiętam, że ogromną satysfakcję sprawiło mi ściągnięcie biotechnologii, która miała względnie nowy budynek, ale na Kładki. Ideą uniwersytetu jest łączenie wysiłków fizyków, chemików, prawników, bo to wszystko jest połączone. Idea *universitas* jest przecież ogólnie znana i jeżeli coś jest w odległości siedmiu kilometrów i trzeba jeździć tramwajem, no to już niekoniecznie jest tak, jak powinno być. Ale nie chwając się, to siedem budynków zostało wybudowanych i oddaliśmy statek badawczy, jeden z najnowocześniejszych, chyba, badawczych statków w tym rejonie świata. I to było wyzwanie, ale i przyjemność. To od razu mówię: każdy kolejny budynek, zasiedlenie, oddanie do użytku. To była satysfakcja patrzeć, jak cieszą się pracownicy, którzy wreszcie pracują w porządnym warunkach. Ja pamiętam, że na humanistycznym wydziale wcześniej po pięć osób pracowało w pokoju. No przecież trudno sobie wyobrazić pięciu humanistów, którzy w jednym pokoju mają tworzyć jakieś wiekopomne dzieła. No a teraz się to wszystko jakoś troszeczkę bardziej ucywilizowało. No i to była ogromna satysfakcja.

D.B.: Koledzy politolodzy tutaj wspominają do tej pory, jak na ul. Hallera, gdzie był wcześniej budynek instytutu, w pokoju było po 5 czy 6 osób.

B.L.: Dawna szkoła pielęgniarska. Też to pamiętam.

D.B.: Były to warunki do rewolucji, a dzisiaj, gdy pracujemy w tych budynkach, to co mamy, wydaje się nam oczywiste. Kiedyś tak nie było i ta świadomość, myślę, musi też funkcjonować.

B.L.: To już zamierzchłe czasy i myślę, że tutaj odpowiednie byłyby słowa z wiersza Asnyka, żeby „nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę”, bo to potem się zapomina. I dobrze, młodzi muszą iść naprzód i to, co zastają, uważać za oczywiste, ale starać się jeszcze to polepszyć.

D.B.: Panie Rektorze, a jakie osoby ze swojej pracy na Uniwersytecie Gdańskim od jej początku zapamiętał Pan najlepiej? Jakie osoby wywarły na Pana szczególnie wpływ?

B.L.: Tutaj powiem, że ze względu na profesję, czyli chemię, to był mój promotor. Świętej Pamięci Profesor Kupryszewski, który był osobą naprawdę życzliwą i starającą się, żeby jego pracownicy osiągnęli kolejne szczeble naukowe. Oczywiście nie jakoś tak w sposób nieuczciwy, ale zachęcał, delikatnie mówiąc, do pracy. A to zachęcanie było czasami dosyć takie ostre, bym powiedział, ale to wspominamy z wdzięcznością, bo to spowodowało, że te kolejne szczeble kariery się pokonywały. No i absolutnym idolem jest dla mnie Profesor Sokołowski. To była osoba, której nie zapomnę do końca życia. Dumny jestem, że udało się tramwaj jego imieniem nazwać. Po wielu latach starania. To była moja *idée fixe*. To był erudyta, chemik, ale on się znał na malarstwie, na literaturze, na muzyce. Poza tym człowiek naprawdę nieprzeciętnego formatu. Pamiętam taką anegdotkę. On przychodził do nas i rozmawiał. W pokoju pracowałem

z Panią, która była członkiem jego katedry, i oni rozmawiali tam o jakichś swoich sprawach. A później była kawka i takie luźne rozmowy. No i kiedyś on coś zaczął się śmiać z ludzi, którzy chodzą do kościoła, religijni są, siedzą, klepią te pacierze, a mnie coś młodego asystenta, wtedy magistra, podkuśiło. Mówię: Panie Rektorze, ja nie widzę wielkiej różnicy między partyjnymi, którzy siedzą na zebraniach partyjnych i też klepią różne banały. Ja myślę, Boże, co ja powiedziałem? On się na mnie spojrzął. Wie Pan, no może ma Pan rację. Tak mi powiedział, ale na drugi dzień tak idę niepewnie. Czy ja jeszcze pracuję na Uniwersytecie? Ale w ogóle nie było żadnych problemów. On był członkiem partii, ale takim rozsądnym, to takich partyjnych wtedy daj Boże. No i ta anegdota też mi utkwiła w pamięci. I jedna osoba nie z chemii, którą bardzo cenilem, to jest Profesora Rudowicza, też Rektora, nie z wyboru, z nadania, ale to była osoba bardzo kulturalna, umiejąca w tych trudnych czasach walczyć o studentów i pracowników, myślę o politycznych uwarunkowaniach. I to była też osoba, która na mnie zrobiła duże wrażenie, chociaż nie znałem go tak jak Profesora Sokołowskiego. No z racji takich, powiedzmy, częstszych dużo kontaktów.

D.B.: Ale Profesor Rudowicz był z Sopotu, tak?

B.L.: Z ekonomii, tak. O postaciach negatywnych nie będę mówił, bo o umarłych mówi się albo dobrze, albo w ogóle. Natomiast Profesora Rudowicza bardzo ciepło wspominam. Ja byłem wtedy jego pełnomocnikiem do spraw bezpieczeństwa i higieny pracy.

D.B.: O tej funkcji Pana Rektora nie słyszałem.

B.L.: Ta funkcja była z racji tego, że byłem chemikiem, a tamtych zagrożeń wtedy było szczególnie wiele, bo warunki pracy urągały tym podstawowym. Chemię chciano zamykać od czasu do czasu, jak już byłem dziekanem, bo ciągle coś było nie tak i zawsze na tej zasadzie, że będziemy budować nową. Na dniach uzyskiwali jeszcze na dwa lata przedłużenie. No i w końcu udało się tą Chemię zbudować, ale było naprawdę nieciekawie.

D.B.: My jeszcze przed sprzedaniem budynku Chemii byliśmy robić fotografie, dokumentować i powiem, że w niektórych pokojach, mimo kilku lat od kiedy Chemia ta stara już nie funkcjonowała, było bardzo silnie czuć różnego rodzaju substancje, więc one tam były w ścianach.

B.L.: Bez kucia tynków to się nie zmieni. W pokoju, w którym pracowałem, było odświeżanie, malarze pomalowali jakąś farbą zawierającą skrobiew, a myśmy pracowali dużo z jodem. My na drugi dzień przychodzimy i całe ściany i sufit w różnych odcieniach fioleto, bo skrobia z jodem to jest odczynnik, który daje kolor fioletowy. No i trzeba było spryskiwać to tiosiarczanem, żeby zredukować. No tak, ale jod był cały czas w ścianach, tak jak Pan mówi. Tam jak się wchodziło, to był taki już od samego wejścia zapach bardziej lub mniej intensywny, w zależności od katedry. Najbardziej przy chemii organicznej.

D.B.: No i po latach to zostało. Mimo wszystko. A jak Pan Rektor wspomina istotne wydarzenia polityczne w PRL, np. grudzień '70, sierpień '80? Czy one dotyczyły jakoś pracowników, czy raczej to było gdzieś z boku?

B.L.: To znaczy wie Pan, na pewno wpływało. Z tym, że ja tu nie jestem dobrym rozmówcą. Myśmy pracowali na wydziale eksperymentalnym, gdzie starania się o wpływy partii były raczej znikome. Poza tym naszą tarczą byli profesorowie Sokółowski i Kupryszewski, którzy byli bardzo wysoko w hierarchii partyjnej. I oni nie dopuszczali do tego, żeby nas tam specjalnie agitować. Natomiast pamiętam marzec, ale byłem jeszcze studentem. Pamiętam grudzień, tylko pamiętam to z tego, że mieszkaliśmy w Brzeźnie w hotelu asystenckim i pojechałem zobaczyć, jak płonie Komitet Wojewódzki i wróciliśmy. To jest takie tylko, powiedzmy sobie, bardzo ogólne. Na Wydziale Chemii nie było żadnych problemów. Poglądy były takie normalne, czyli antykomunistyczne, powiedzmy 95% pracowników, natomiast nie było żadnych takich demonstracji. Natomiast wiem, że koledzy z Wydziału Prawa i z tych wydziałów tutaj nauk społecznych, ekonomicznych mieli. Jeden z moich kolegów musiał wyemigrować do Francji, bo po zrobieniu doktoratu nie chciał się zapisać do partii, no i powiedzieli mu, że w takim razie będzie dożywotnim doktorem tam na etacie, gdzieś. Także to było coś innego. U nas tego nie było, i nie trzeba było być członkiem partii, zresztą to widać po mojej karierze, żeby awansować.

D.B.: No tu wybijali się fizycy. W ich instytucie ruchy opozycyjne były silne w latach osiemdziesiątych.

B.L.: Profesor Głębocki świętej pamięci był przecież szefem „Solidarności” itd. Na Chemii także należeliśmy do Solidarności jak najbardziej, ale nie było takich sztandarowych działaczy jak Profesor Głębocki, który przecież najpierw był szefem „Solidarności” na uczelni, później ministrem.

D.B.: Panie Rektorze, ostatnie już pytanie. Jest Pan autorem lub współautorem ponad stu publikacji, promotorem, recenzentem kilkudziesięciu rozpraw doktorskich, to imponujący dorobek. Ale gdyby miał pan wskazać, które ze swoich osiągnięć, badań uważa Pan po latach za najistotniejsze, z którego jest Pan najbardziej dumny?

B.L.: Jestem dumny z moich prac. Pracowaliśmy nad hormonami i ich antagonistami, czyli związkami blokującymi działanie hormonów. To była oksytocyna, ozopresyna i bradykinina. I ja byłem zaproszony, co rzadko się zdarzało w tamtych czasach, do Bostonu, żeby zorganizować na Uniwersytecie Bostońskim, który był i jest jednym z najlepszych uniwersytetów, laboratorium peptydowe i zrobiłem to. Tam pieniądze na badania i na aparaturę były właściwie, można powiedzieć, prawie nieograniczone. Co się chciało, to się dostawało. No i udało mi się stworzyć dwa związki, które na zwierzętach działały. Chodziło o regulację gospodarki wodnej. Rynek na te medykamenty był oceniany wtedy na kilka miliardów dolarów. No i dwa z moich związków na zwierzętach działały świetnie nawet na psach, natomiast później okazało się, że były na badaniach klinicznych, czyli na próbach już w klinice, gdzie podawano je

150 ochotnikom. I wtedy mój szef, a później przyjaciel powiedział mi: „No wiesz, jak będzie to działało i będziemy mogli to wprowadzić na rynek, to na początek dostaniesz 5 milionów dolarów”. To było w 1990 roku. Teraz to dużo, ale wtedy to było tak, jakby teraz powiedzieć 50 milionów dolarów. No to szczęka mi opadła. No ale niestety, one powodowały efekty uboczne typu zaczerwienienia, swędzenia, kichania i podejrzewam, że to był efekt oszczędności, które profesor, który kierował tym projektem, moim zdaniem niepotrzebnie stosował, bo nie były oczyszczone. One były czyste chemicznie, ale nie były czyste biologicznie. Ja podejrzewam, że powodowały to alergeny. No ale tak widocznie miało być. Jednak byłem z tego dumny. W Bostonie, który jest jednym z centrów światowej medycyny, w klinice w świetnym uniwersytecie opracowałem dwa związki i było blisko ogromnego sukcesu, bo potem to byłby patent.

D.B.: To ja muszę powiedzieć Panie Rektorze, że dla nas to może lepiej, że ten patent się nie udał, bo teraz byśmy się tu nie spotykali.

B.L.: Ale ja zawsze chciałem do Polski wrócić, nie chciałem nigdy zostać, więc mnie to specjalnie nie zmartwiło. Byłem tylko ciekaw, czy to rzeczywiście związki, czy te zanieczyszczenia biologiczne. Ale z tego byłem dumny. Publikacje oczywiście też. Miałem w „Nature” publikację. To takie czasopismo, które ma 40 czy 50 impact factor, ale to takie bardziej „suche” bym powiedział. A tutaj było coś, co się obserwowało najpierw na zwierzętach, jak to działa, a potem na coraz to bardziej skomplikowanych organizmach, aż do człowieka. No ale niestety, tak miało być.

D.B.: A czy z któregoś ze swoich uczniów Pan Rektor jest szczególnie dumny? Doktorantów?

B.L.: Ja mam czterech profesorów tytularnych. Nie chcę wymieniać, którego najbardziej.

D.B.: Oczywiście.

B.L.: Bo oni nadal pracują. Też jestem dumny z dwóch moich doktorantek. Jednej, która jest profesorem w Kanadzie na Uniwersytecie, a drugiej w Australii. Była wcześniej w Hiszpanii, ale przeniosła się do Australii. Ale to były czasy, kiedy o to, żeby zostać doktorantem, starały się u każdego po dwie, trzy osoby. Nie tak jak teraz, gdzie warunki finansowe są takie, że właściwie ja z przerażeniem patrzę na perspektywy nauki. Trudno winić młodych ludzi, kiedy stypendium wynosi trzy tysiące złotych. Coś takiego chyba.

D.B.: Dwa czterysta, chyba na początek.

B.L.: Zwłaszcza na początku jeszcze gorzej. No dobrze, ale na Wydziale Chemii może trzy tysiące złotych. Ale przecież to są takie pieniądze, że nikt nie ma zdolności kredytowej, a młody człowiek musi starać się o mieszkanie. W moich czasach nie było mieszkań, to fakt, ale mieszkaliśmy w hotelach asystenckich i wszyscy tak mieszkali. A teraz? Teraz mają wzorce. No już nie będę mówił o lekarzach, którzy jeżeli są nieźli,

to zarabiają naprawdę przyzwoicie, godnie. No i patrzę na to naprawdę z troską, ponieważ nabór będzie coraz mniejszy, a już widać to bardzo wyraźnie, przynajmniej na chemii. Myślę, że wszędzie jest bardzo mało osób, które decydują się na karierę naukową, a jeżeli już nawet robią doktorat, to później odchodzą, bo za te pieniądze nikt nie jest w stanie pracować, chyba że ma bogatą żonę czy męża bądź bogatych rodziców, którzy chcą jego lub ją finansować. Tak źle jeszcze nie było i nie mówię tego tutaj, żeby politycznie kogoś agitować, ale fakty mówią za siebie.

D.B.: Miejmy nadzieję, że będzie lepiej po takim dołku.

B.L.: Ja słyszałem, że cieszymy się, że jest tak, bo będzie gorzej, ale może to oczywiście dowcip.

D.B.: Bardzo dziękuję za rozmowę.

Biogram

Bernard Lammek – prof. dr hab., chemik, absolwent Politechniki Gdańskiej, dziekan Wydziału Chemii UG w latach 1996–2002, prorektor ds. nauki UG w latach 2002–2008, rektor UG w latach 2008–2016. Autor ponad 100 publikacji naukowych, promotor i recenzent w kilkudziesięciu przewodach doktorskich w zakresie chemii organicznej.

Bernard Lammek – Prof., Chemist, graduated from the Gdańsk University of Technology. He served as Dean of the Faculty of Chemistry of the University of Gdańsk from 1996 to 2002, Vice-Rector for Science from 2002 to 2008, and Rector from 2008 to 2016. He is the author of over a hundred scientific publications, and has acted as both a promoter and reviewer for numerous doctoral dissertations in the field of organic chemistry.

Dominik Bień – doktor nauk o polityce i administracji, pracownik Instytutu Politologii na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego. Do jego zainteresowań badawczych należą: historia myśli politycznej XIX i XX wieku, myśl polityczna opozycji w PRL, historia szkolnictwa wyższego w Trójmieście.

Dominik Bień – PhD in political science and administration, employee of the Institute of Political Science at the Faculty of Social Sciences, University of Gdansk. His research interests include the history of political thought in the 19th and 20th centuries, political opposition thought in the Polish People's Republic, and the history of higher education in the Tri-City.